

Tak po ludzku nie rozumiem, dlaczego Helenka zginęła

- Nie wyruszyła do Boliwii z myślą, że jedzie tam zginąć. Jakimś jednak bohaterstwem było to, że chciała poświęcić komuś sześć miesięcy swojego życia, zostawiając chłopaka, rodzinę i znajomych – mówi Teresa Kmiec, siostra zamordowanej wolontariuszki Heleny Kmiec z Libiąża. 24 stycznia mija rok od tamtej tragedii.

Marek Oratowski: Kto rok temu powiedział pani o śmierci siostry?

Teresa Kmiec: Byłam wtedy na rekolekcjach w podkarpackim Heluszu, między Przemyślem a Jarosławiem. Tata dzwonił do mnie kilka razy, ale nie miałam przy sobie telefonu. Gdy wróciłam do pokoju, by przebrać się przed nabożeństwem, zobaczyłam kilka nieodebranych połączeń oraz SMS „Zadzwoń, pilne”. Wybrałam numer. Po chwili usłyszałam głos taty: „Helenka została zamordowana”. W pierwszej chwili pomyślałam, że to mi się chyba śni. Tata powiedział, że dostała nożem w brzuch i nie zdążyli jej uratować...

A kto tę tragiczną wiadomość przekazał pani ojcu?

- Ksiądz biskup Jan Zając, nasz wujek. Po rozmowie telefonicznej z tatą poszłam na nabożeństwo pokutne ze spowiedzią. Miałam grać na gitarze. Wiedziałam, że o tym, co się stało, muszę powiedzieć mojej grupie, bo i tak się dowiedzą. Choćby z Facebooka. Pomyślałam jednak, że jeśli zrobię to od razu, nie skupią się na spowiedzi. Z różańcem w ręku czekałam więc w kolejce do konfesjonalu i wbijałam paznokcie w dłoń. Żeby się upewnić, że to nie sen. Gdy nabożeństwo skończyło się, wyszłam na ambonę i poprosiłam wszystkich o modlitwę. Za Helenkę, za mnie, za rodziców.

Bardzo byliście zżyte ze sobą przez 26 lat wspólnego życia?

- Przez długi czas miałyśmy ze sobą kontakt codziennie. Potem Helenka wyjechała do szkoły do Anglii a ja na studia. Nie mieszkaliśmy już w domu rodzinnym. Najczęściej spotykałyśmy się w czasie wakacji. Nie wisałyśmy godzinami na telefonie ani nie relacjonowałyśmy sobie naszego życia minuta po minucie. Myślałyśmy jednak o sobie, wysyłając SMS-y, maile, kontaktując się przez Facebooka. Kupowałyśmy sobie pamiątki, gdy gdzieś wyjeżdżałyśmy. Miałam też poczucie, że Helenka orientuje się, co dzieje się w moim życiu.

Tę bliskość pogłębiały pewnie wspólne zainteresowania. Wiem, że chodziłyście razem do szkoły muzycznej.

- Obie grałyśmy na fortepianie. Ja poszłam potem na studia, na muzykologię, a Helenka wybrała śpiew solowy. Na pewno łączyła nas gra na gitarze.

Na YouTube można zobaczyć film, na którym pani siostra śpiewa na dworcu kolejowym podczas akcji ewangelizacyjnej. Miała charakterystyczny wokale.

- Ktoś z chóru Politechniki Śląskiej powiedział po jej śmierci, że posiadała wyjątkowy głos.

W ślad za wiarą wyniesioną z domu szło wasze zaangażowanie w różne wspólnoty.

- Gdy Helenka była w trzeciej klasie podstawówki, a ja w piątej, rodzice wysłali nas na spotkanie Papieskiego Dzieła Misyjnego Dzieci. Potem działałyśmy jeszcze razem w oazie a później już każda oddzielnie, w różnych wspólnotach.

Helena od dziecka marzyła o wyjeździe na misje?

- Nie pamiętam, żeby tak było. Gdy natomiast przystąpiła do Wolontariatu Misyjnego Salvator, poczuła się tam, jak u siebie. Bardzo to współgrało z jej sercem i tym, co ją interesowało. Mogła poznać nowych ludzi, zrobić dużo dobrego. Lubiła, gdy wokół niej dużo się działo.

Zastanawiam się, jak znajdowała na to wszystko czas.

- Na to, co się kocha, zawsze ma się czas.

Pewnie nieraz zadawała pani sobie pytanie, dlaczego siostra straciła życie właśnie w momencie, gdy niosła pomoc...

- Nie pytałam Pana Boga czemu zabrał mi siostrę, bo nie uważam, że to zrobił. Zadawałam Mu raczej pytanie, dlaczego temu nie zapobiegł, chociaż mógł. Tego nie rozumiałam. Morderca miał wolną wolę. A Bóg nas tak kocha, że tej wolnej woli nie odbiera nam nawet wtedy, gdy sobie lub innym wyrządzamy krzywdę. Gdyby nam nakazał siebie kochać, byłoby to niewolnictwo. Tak po ludzku nie rozumiem, dlaczego Helenka zginęła. Widząc jednak, ile dobra spowodowała jej śmierć, wiem, że to miało sens. To, że teraz o niej rozmawiamy, świadczy, że była ważna. Nie pozwala o sobie zapomnieć.

Wybaczyła pani mordercy?

- Tak.

Po śmierci Heleny powstała choćby fundacja jej imienia. Ulica w Libiążu, przy której stoi szkoła KSW, nosi jej imię. Została też pośmiertnie honorową obywatelką miasta. Ale chyba ważniejsze jest to, że zainspirowała młodych ludzi do pracy w wolontariacie. Podczas grudniowego finału „Szlachetnej Paczki” rozmawiałem z jednym z wolontariuszy. Młody chłopak z Trzebini przekonywał, że do wyjazdu na misje zainspirowała go właśnie postawa Heleny.

- Nie wyruszyła do Boliwii z myślą, że jedzie tam zginąć. Jakimś jednak bohaterstwem było to, że chciała poświęcić komuś sześć miesięcy swojego życia, zostawiając w kraju chłopaka, rodzinę i znajomych. I jeśli taka młoda, ładna i inteligentna dziewczyna, mogąca mieć wygodną pracę w Polsce, wędruje na drugi koniec świata, to musi się pojawić pytanie, dlaczego to robi. Tutaj nie chodzi o jakieś szczytne idee humanistyczne. Musi być w tym coś więcej, jakaś miłość. Jedna z koleżanek napisała, że dla niej życie Helenki jest takim kijem włożonym w jej spokojne, wygodne i poukładane życie. Ciągłe spotykam ludzi, którzy mówią: „Ona zmieniła moje życie”. Modląc się za jej wstawiennictwem u Boga, uzyskali to, o co prosili. Są tacy, którzy szczególnie ją polubili. Jedni o tym mówią, inni pewnie robią to w cichości serca.

Traktuje pani siostrę jak świętą?

- Właśnie tak o niej myślę. Gdyby kiedyś została przez Kościół ogłoszona świętą, to byłby zaszczyt. I jeszcze więcej ludzi by się o niej dowiedziało. Chociaż wiem, że to nie stanie się za rok, ani dwa. Możemy poczekać na to wiele lat.

Helena w ostatnim okresie życia nawet fizycznie była blisko nieba. Dlaczego została stewardessą?

- O rekrutacji dowiedziała się od swojej koleżanki. Spróbowała i dostała się. Latała po Europie oraz do Gruzji i Izraela. Wcześniej nie zwierzała mi się, że chciała latać. Ta praca bardzo do niej pasowała.

wała. Ciągłe wśród ludzi, zmieniające się sytuacje. Pracowała w liniach lotniczych niecałe dwa lata. By jechać do Boliwii na misję, wzięła bezpłatny urlop.

To nie był jej pierwszy misyjny wyjazd. Podobno przy okazji wcześniejszego, do Afryki, wykryto u niej wrodzoną wadę.

- Wróciła stamtąd chora i nie wiadomo było, co jej jest. Pojechałam z nią do przychodni chorób tropikalnych w Krakowie. Przy okazji badania wyszło, że ma przetoki w płucach i niską saturację (nasylenia krwi tlenem - przyp. aut.). Mimo to była wysportowana, chodziła po górach. To była raczej wada wrodzona. Lekarz zasugerował operację. Zgodziła się.

Pani opowiada o siostrze i o tym, co się stało. Nie słyszałem za to publicznych wypowiedzi waszych rodziców.

- Jeszcze jest to dla nich zbyt trudne.